Wilno w poezji i obiektywie

Troki, Litwa, fot. Tadeusz Szostak.

Aleksander Lewicki *(Wilno)*

> Stworzony z gliny,

Dusza od Boga

A ciało z Ziemi Matki…

I zostało w pamięci

Moich kości i krwi…

Razem z wiosną ożywam

W trawie, kwiatach,

Kwitnących sadach…

Moje ręce obejmując

Gałązkę jabłoni

Stają się gałęziami

Kwitnących kwiatów…

Padam w pachnące trawy

i już w ich korzeniach…

> Ziemia Matka tuli
>
> Swego kochanego syna
>
> i upomina, że jestem
>
> Jej własnością,
>
> A Ona – własnością Boga…

***

Tadeusz Szostak *(Austin, Teksas)*

Wilno

Wilno

Aleksander Lewicki *(Wilno)*

> Uniósł mnie duch
>
> W swoje zaświaty…

Gdzie ludzi nie ma,

Wierzby nie rosną,

Rzeki nie płyną,

Kwiaty nie kwitną…

Zniknęło moje ”ja”

Stałem się nędznym kurzem…

Wszystko wirowało

Wciągało do siebie

Z dzikim rykiem

I zgrozą…

Droga do otchłani

Zło tryumfowało…

Tylko jedno westchnienie,

Jedna myśl…do Boga…

Radość nie do opisania!

Dalekie Światło wołało

Mnie nędznego, zagubionego…

Czule otuliło Miłością!

Rozkochało w Sobie

Ożyłem i byłem…

Nie ma takiej Miłości na ziemi,

Tylko Bóg umie tak Kochać!

Dusza poznała Swego Ojca

I nie chciała niczego innego

***

Tadeusz Szostak *(Austin, Teksas)*

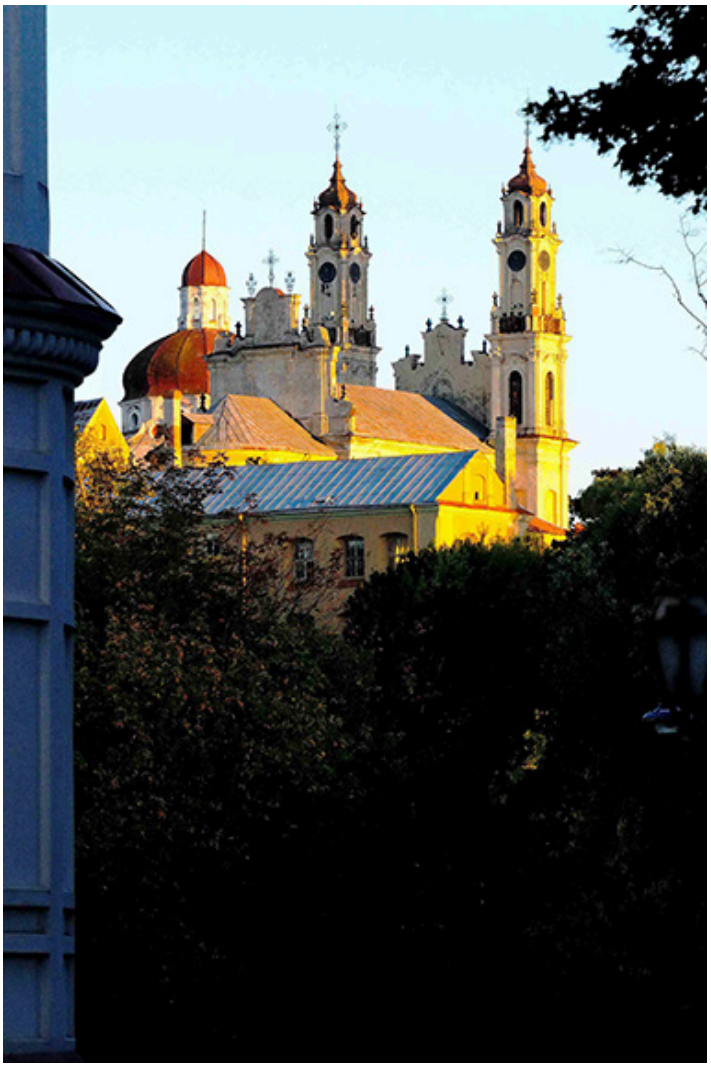

Wilno

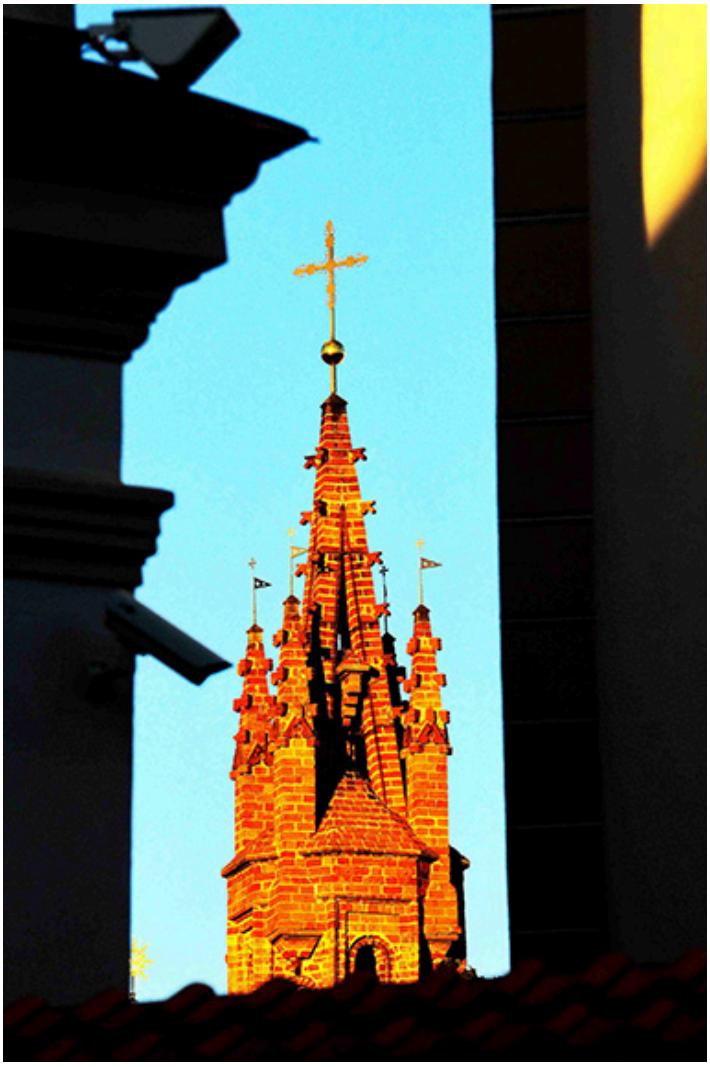

Wilno

Aleksander Lewicki *(Wilno)*

> Złociste pole żytnie
>
> Jak włosy dziewczyny,

Ziarno dojrzałe

Jak brzemienna kobieta…

Chabry pieszczące oko

Jak postać kochanej…

Motyle tańcują taniec,

Taniec weselny…

Rozkochany w tej piękności

Duch mój wyśpiewywał

Hymny Panu Bogu,

Wielbiąc Jego Dzieło!

W blasku słońca

Ujrzałem ciebie z kwiatem

Wplecionym we włosach

I zapomniałem o swoich latach…

Twoja młodość i piękność

Uwiodła mnie

Na pierzynę z żytnich kłosów…

Zapomnieliśmy o dniu wspaniałym,

Bo noc już gwiazdy sypała…

A my szczęśliwi staliśmy się

Polem, żytnim polem

Ty kłosem… i ja kłosem,

Nie żałując sobie

Złotego pyłu…

***

Tadeusz Szostak *(Austin, Teksas)*

Wilno

Wilno

Wilno

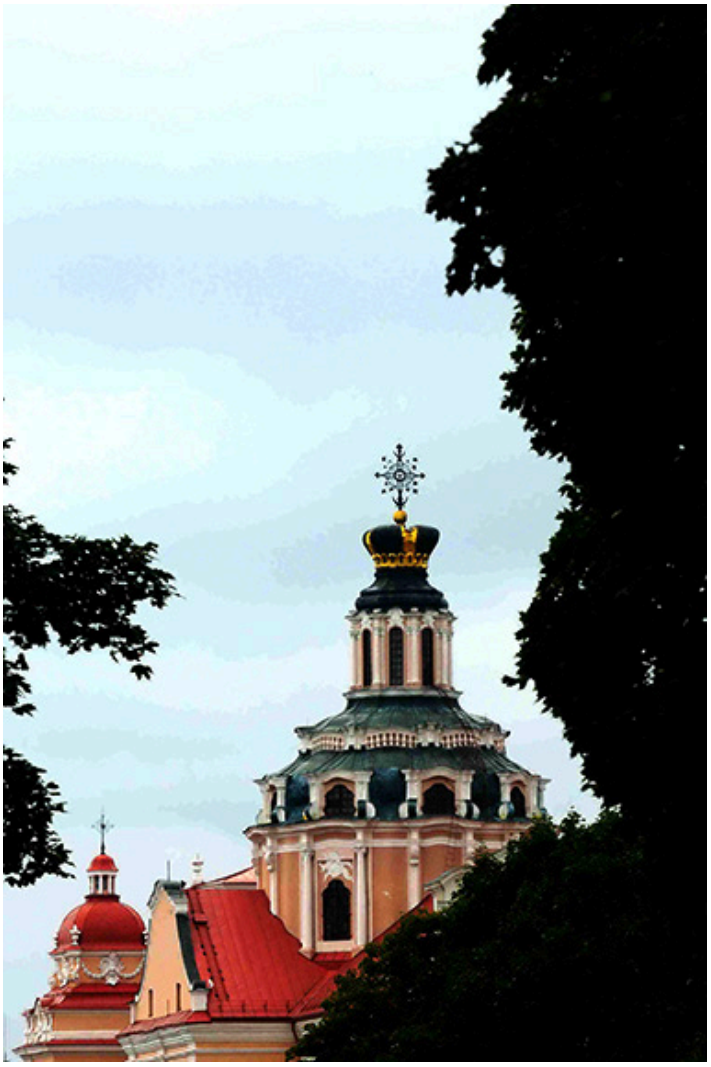

Wilno

O Aleksandrze Lewickim:

https://www.cultureave.com/noc-i-inne-wiersze-z-wilna/

Szelest srebra.
O rzetelności
„Wyboru wierszy”
Wacława Iwaniuka.

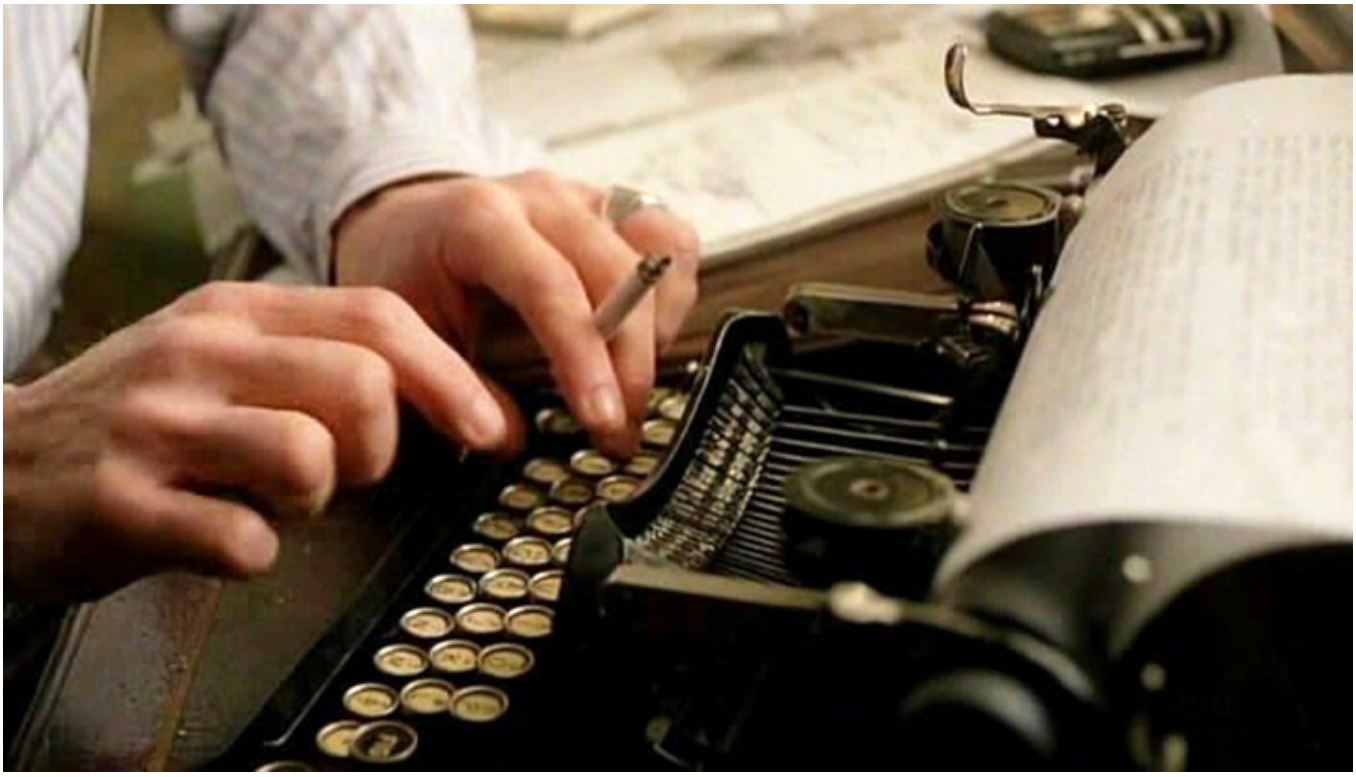

Marian Czuchnowski

Rocznik 1913 wydał trzech wybitnych i bardzo różniących się między sobą pisarzy: **Wacława Iwaniuka**, **Jan Bolesława Ożoga** i **Jana Bielatowicza**. Z nich trzech Bielatowicz pozostał wierny prozie tak krytyczno-eseistycznej, jak i beletrystycznej. Ożóg odrobił zaległości prozaiczne sowicie, a tylko Iwaniuk pozostał poetą czystym, choć ogłosił kilka przepysznych urywków prozy.

Autor „Wyboru wierszy" urodził się w Chełmie Lubelskim i tam ukończył szkołę średnią. Potem studiował na wydziale Prawno-Ekonomicznym Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Był poetą wyjątkowo fachowo przygotowanym do znajomości

problemów emigracji bo studiował przed wojną właśnie sprawy emigracyjno-kolonialne, co też zaraz wykorzystał po ukończeniu studiów udając się w r. 1939 do Argentyny, aby – gdy wojna niemiłosiernie wzięła w swe ręce nasze osobiste dzieje – przyjechać na głos sumienia do Anglii i wziąć w jej pożarze udział aż do końca w Europie. Po wojnie osiadł i zamieszkał w Toronto.

Te wiersze w tomie, w każdym razie ich większość powstała w Kanadzie. Iwaniuk debiutował w 1933 r. W głośnym i bardzo dla poezji zasłużonym piśmie wydawanym w jego rodzinnym mieście, w miesięczniku „Kamena" redagowanym przez starszego od Iwaniuka o 16 lat poetę Kazimierza Andrzeja Jaworskiego, ogłaszał swe liryki od 1933 do 1939 roku.

Pierwszy poemat „Pełnia czerwca" wydał nakładem grupy literackiej „Wołyń" w Chełmie. Od tego czasu wyszło wiele tomów poezji Iwaniuka w Warszawie, Londynie, Brukseli i w Paryżu. „Wybór wierszy" jest podręczną antologią pracy poetyckiej ostatnich kilkunastu lat.

Najlepszym kluczem do otwarcia tego wyboru jest końcowy utwór „Post scriptum" (s. 104):

> Chciałem opisać dzisiejszą planetę gdzie ocaleni wolno

> przychodzą do siebie.

Jasno i zwięźle.

Tom składa się z 52 tytułów. Wszystkie utwory zawierają jakiś poetycki sekret. Osią ich, a raczej stosem pacierzowym jest odpowiedź na 52 pytania, które zadaje sobie codziennie każdy rozumny człowiek, ale odpowiedzieć na nie artystycznie może tylko poeta. Iwaniuk jest rzetelnym artystą i odpowiadając na sekrety bytu i sensu bytu lub jego bez-sensu jakby to slowo zapisał Norwid, używa nowoczesnych w naszej własnej epoce wyrobionych narzędzi. Nie sposób ich wyliczać. Trzeba przeczytać tom, a ukażą się one czytelnikowi w całym bogactwie w najbardziej wyrafinowanych i pokrętnych jak anteny telewizyjne do zdumiewająco prostych. Tom złożony, gabinet chirurgiczny, liryka lśni niepokalaną czystością. Można te utwory tłumaczyć na francuski czy angielski i nie zgubią pierwotnej formy. To wielki przymiot artysty -Iwaniuka.

Sprawny rytm, całkowita nieobecność banału mechanicznego rymowania, zdania różnorodne, nie tylko proste, ale także skomplikowane jak szlachetna skorupa winniczka skrytego na pół w mokrym szmaragdzie mchu i na pół draśnięta słońcem. Obfitość form wyróżnia ten zbiór w sposób wyśmienity od wielu innych tomów wydanych przez innych poetów, a także całkowity

brak szablonu. O tej rzetelności i odwadze intelektualnej świadczy również kilka utworów, w których świadomie i zgodnie z literą i duchem epoki przywiązuje swe staranne wersy do nazwisk-sztandarów w filozofii i współczesnej psychologii. Takich utworów jak „z Freuda”, „z Sartre’a, „Z Kierkegaarda”. Nie ukrywa tych sztandarów, ani kluczy filozoficznych, źródeł zainteresowań poza-poetyckich, lektur.

Jest w tym tomie więc dokładnie określony stosunek Iwaniuka do nowoczesnej filozofii, do nowoczesnego malarstwa i nauki. A wszystko czyni czystym piórem czy smacznymi nowymi czcionkami Remingtona. Gdyby tylko ocalały z nich za lat 50 trzy krótkie liryki „Akt” (s. 35), „O narastaniu życia” (s. 42), „Onegdaj” (s. 83), to wybór ten jest już znakomity prze to samo. A ocaleje wiecej niż trzy liryki.

Między wojnami wielu znakomitych poetów unikało tego co krótko, choć nie całkiem ściśle, można nazwać spięciem filozoficznym w poezji, słusznie się obawiając nieszczęsnego banału. Bogate doświadczenia w dziewiętnastowiecznej przeszłości odpychały ich od dość pospolitego błędu wielu poetow refleksyjnych. Wiadomo było, że kogo opuściła wyobraźnia i uczucie, uciekał w filozofię. Jak nieszczęściem samolotu i prowadzącego go pilota są dziury w powietrzu, tak dla większości filozofujących poetów były dziury intelektualne, w które zapadała się po latach połowa ich utworów lirycznych. I już

się nie wydobywała potem z ich zapadni.

Dzisiaj nowa silnie zbliżona do radarowej tarczy liryka współczesna potrafi uchwycić dokładniej myśl i inspirację wyobraźni w zdanie oczyszczone starannie z dłużyzn, niepoetyckich materiałów, łatwizny wielkich słów pisanych od dużej litery używanych nie tak dawno do odkrycia rzeczy na ogół pospolitych. To duży postęp w liryce awangardowej.

Alfred Adler, Jung, awangardziści i ich wybitni uczniowie mogliby dać na warsztat w seminarium uniwersyteckim te wszystkie wiersze Iwaniuka i potem powstałaby z rozbiorów interesująca praca naukowa. Jakże niezwykle cieszyłby się wierszem Iwaniuka „Z Kierkegaarda" Stefan Kołaczkowski, wychowanek Heidelbergu, który złotą chłodną jak chryzantemy i jak one kruchą jesienią 1927 r. wtykał mi tego rozpaczliwego Duńczyka po niemiecku z uporem naukowca a ja właśnie czytałem z rozkoszą wspaniałą powieść jego rodaka J.P. Jacobsena „Niels Lyhne" przełożoną przez Marię Dąbrowską. Dopiero potem dobrałem się do pesymistycznego pastora Soerena Kierkegaarda. W polskim, wciąż stojącym w ruinach Verdun, głośnych Gorlicach.

Wychowani na niemieckich uniwersytetach przed pierwsza wojną światową polscy neokantyści psuli nas doszczętnie ciemną tragedią istnienia i esejami zwłaszcza założyciela filozofii

egzystencjalistycznej Martina Heideggera, inwentora fenomenologii Edmunda Husserla no i mądrego Duńczyka Soerena Kierkegaarda. A my kochaliśmy naszego przyjaciela Leona Chwistka, nie tylko dlatego, że pił z nami kawę, ale że był żwawym autorem genialnego eseju „Wielość rzeczywistości”. Na tę filozoficzną zaprawę chemiczną „Wyboru wierszy” Iwaniuka chciałem zwrócić uwagę, bo tak trzeba pisać nowe wiersze. Czym są jeszcze te utwory? Cichym pełnym powietrza składem pięknej polskiej mowy, zbiorem, świeżego jak wilgotne maliny, dojrzałego języka poetyckiego. Dowodem upartej walki intelektualnej o prawo do istnienia, potwierdzeniem sensu istnienia. Są jak szelest srebra w źródle.

Wacław Iwaniuk. Wybór wierszy, stron 106 plus 4 nlb. Na stronie otwierającej portret autora wykonany piórkiem i podpisany przez rysownika kleksem nie do odcyfrowania. Instytut Literacki. Paryż 1965.

Artykul ukazal się w „Dzieniku Polskim i Dzienniku Zołnierza” w Londynie, 22.9.1965.

O Marianie Czuchnowskim wspomnienie Floriana Śmieji:

https://www.cultureave.com/poezja-na-emigracji/

Pomiędzy

Romuald Mieczkowski *(Wilno/Warszawa)*

Romuald Mieczkowski w Klubie Związku Pisarzy Litwy, fot. Vladas Braziunas.

Dwie rzeki

Wilia i Wisła –
pomiędzy rzekami dwoma
moje życie płynie

O co w życiu chodzi

Wiemy jak żyć należy
lecz nie ma czasu
żeby tak żyć

Czyż o to w życiu chodzi –
by czasu nie było
żeby żyć?

Rodzice

Jacyż młodzi, radośni i szczęśliwi
wprost promieniści naiwnie
bo się udało im namówić chłopczyka
o włosach białych jak mleko
by przetrzymał przez krótką chwilę
wiązankę sztucznych kwiatów
w oczekiwaniu na cudownego ptaszka
co miał wyfrunąć z ciemni atelier
ale czy tak naprawdę wyfrunął?

Skądże mogłem wiedzieć wtedy
że czas rozpoczął lat mych odmierzanie
i zakręcił raz na zawsze swe koło

> Patrzę na rodziców tak pięknie młodych
> chłopczyk uśmiechający się kwaśno
> to ja w lipcu 1952 roku –
> i bieg swój czas na chwilę wstrzymuje

Autor z rodzicami w 1952 roku. Zdjęcie nawiązuje do wiersza pt. „Rodzice” z tomiku „Pomiędzy”.

Stół z czasów nadziei

Po tym jak rozebrano dom w Fabianiszkach
jego duma dębowy stół-olbrzym
przytułek swój znalazł w pokoju niedużym
na piątym piętrze szarego bloku

Z blatem rozsuwanym na wyjątkowe okazje
mieścił wokół siebie dwadzieścia parę osób
dzieci pod nim bawiły się w chowanego
podczas biesiady pies spokojnie drzemał

Jak misternie rzeźbione ma nogi ten stół –
z niekłamaną nadzieją na dobrobytu czas
ileż to pokoleń on widział i przygarniał
a teraz na nim samotnie wazon stoi –

Czeka stół aż spełni swe przeznaczenie
i usiądzie przy nim rodzina przybyła z daleka
by wspominać tych których nie ma
co wokół niego niegdyś razem zasiadali

Zabory

Gnębili nas ruscy na rubieżach
palili i odbierali wszystko

wywozili całymi rodzinami tam
skąd trudno było powrócić –

Kiedy żelazna kurtyna upadła
byłem i ja w paryżach i berlinach
bo żyję w Europie bez granic
choć i bez ziemi własnej

Ostałem się na bruku Warszawy
do której modlili się moi rodzice
i jaką od dzieciństwa ukochałem –
czemu więc w samym sercu polskości
nocą zakrzyczeć chcę pieśnią ruską

Sam na sam z Ostrobramską

Trzeba było przez tyle lat czekać
tej szczególnej chwili

By pójść przed siebie
przy tak nieodpowiedniej pogodzie
gdy z domu trudno się wychylić

Trzeba było przyjść o takim czasie
by sam na sam być z Twoim obliczem
i szczerze jak dziecko zapłakać

Kara za grzech

Postanowiłem przejrzeć książki
żeby zbędne oddać komuś
albo dyskretnie zostawić –

Przykucnąwszy przy półkach
wertowałem tomiki poezji
umacniając się w przekonaniu
że więcej niż milion poetów
chce zapanować nad metaforą
w tym romantycznym kraju –

Wyrzuty sumienia zmuszały
szukać jakichkolwiek powodów
by część dedykacji ocalić
zostawiałem więc książki
znajomych, miłych mi autorów
i tylko autorek pięknych –

Nie wytrzymała tego sowa
ze złocisto-brązowej statuetki
którą przyznano mi jako nagrodę
za mniej określony całokształt
i staranowała z górnej półki
ugadzając mnie boleśnie w plecy

Radziecki Żołnierz w Wiedniu

Jak na pełną przepychu siedzibę cesarzy
pasuje do metropolii monument z kolumnadą
i postimperialny jest w każdym swym calu
lecz błysk jego pozłoty odległy od Klimta –
bliżej mu do karabinu, młota i stali

Bez sensu szukać odpowiedzi na pytanie –
czy stoi ten żołnierz jako atrakcja turystyczna
ciekawostka z antypodów cywilizacji
czy na wieczną cześć i abstrakcyjną chwałę –

Wiedeńczycy otaczają monument opieką
dziękując Bogu że żołnierze co przybyli z daleka
nie wprowadzili w ich mieście swojego ładu

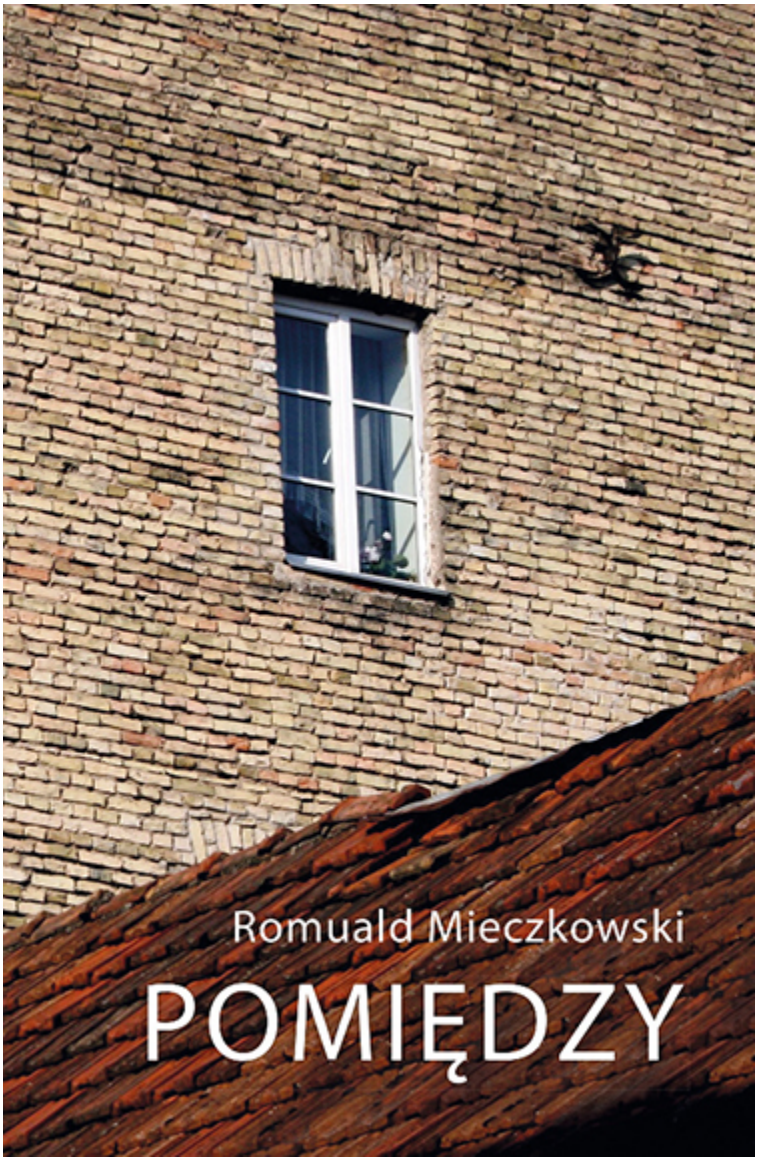

Romuald Mieczkowski, Pomiędzy, Biblioteka znad Willi, Wilno 2018.

Dożywotnio skazany na Polskę

Winicjusz Gurecki

28 czerwca 2019 roku zmarł w Mississaudze (Kanada) Winicjusz Gurecki – poeta, działacz Solidarności. Miał 80 lat.

Wojciech Piotr Kwiatek

W moich wierszach słowiczek nie
śpiewa,

Żadne dziecko się w nich nie
zaśmieje,

Bo mym piórem- twarda rzeczywistość,

Atramentem – zdeptane nadzieje.

Tak napisał w jednych ze swych wierszy Winicjusz Gurecki, działacz „Splidarności”, od 1987 roku przymusowy emigrant (paszport w jedna stronę!) na kanadyjskim bruku, opisując lakonicznie i swój poszarpany polski los i swoją sytuację psychiczną. Jak jego typowa dla tamtego pokolenia biografia, tak i wiersze z tomiku „Smugi cienia” dzielą się na dwa okresy: polski i emigracyjny. Ten pierwszy jest polityczny, dramatyczny i „zdarzeniowy”, ten drugi jest – refleksyjny i egzystencjalny. Ale i w jednym i w drugim powstały dobre, chwilami daleko odbiegające od „patriotycznego sznytu” wiersze, w których chodzi o coś więcej niż tylko kombatanckie „noszenie sztandaru”, krzepienie ducha, umacnianie woli walki z „czerwonym”, ciągłe

odbudowywanie słabnącej chwilami nadziei. Gdy Gurecki napisze:

> Za broń całą dziś musi nam starczyć
>
> Myśl ukryta i trochę bibuły (…)
>
> (Przeznaczenie)

Słychać tu nie tylko dramat prześladowanego, wyzutego z życia i nadziei solidarnościowca, ale i gorycz „człowieka zredukowanego” , a więc refleksje intelektualną. Motyw ten pogłębia jeszcze refleksja historyczno-historiozoficzna z wiersza „Ojczyzno…”:

> Czy kiedyś wreszcie przestaniesz nas dzielić
>
> Na złych i dobrych – na głodnych i sytych (…)

To także często w polskiej tradycji powracające pytanie dotyka jednego z najboleśniejszych polskich problemów: tego, że Ojczyzna nie traktowała sprawiedliwie swoich dzieci, że ich dzieliła, upokarzała, odrzucała jednych, a wynosiła innych,

niekoniecznie oceniając według zasług, że to, co Broniewski nazywał „rachunkami krzywd”, to polski chleb powszedni. Zresztą przytoczony na wstępie wiersz brzmi niemal identycznie jak początek znanego wiersza Broniewskiego „Mannlicher” (Nie głaskało mnie życie po głowie/ Nie pijałem ptasiego mleka), co wskazuje na nawiązanie do tradycji poezji (w dobrym tego słowa znaczeniu) rewolucyjnej, romantycznej. Świadomość tej niesprawiedliwości ciska Gurecki w twarz Polsce jaruzelskiej i kiszczakowskiej, Polsce zbitej, internowanej, podzielonej, krwawiącej, dmuchające w tlące się iskry nadziei niemal wbrew niej, Polsce okłamywanej, sprzedawanej. Polsce, której jakby w tej sytuacji właściwie nie było. Odżywają wtedy tęsknoty za normalnością trudną, ale godną:

> Aby na prawdę poznać życie,
>
> Musiałbyś również się urodzić
>
> W starej czynszowej kamienicy
>
> Dzielnicy Chojny miasta Łodzi.

> Tam zwykła szara ludzka bieda
>
> Skradała się na strome schody,
>
> Po których mama z wielkim trudem
>
> Dźwigała ciężkie wiadra wody (…).
>
> (Poznać życie)

Niestety – to już tylko wspomnienie. Nie ma już tamtego świata, a za chwilę nie będzie tego już i tego tu – koszmarnego, ale swojego. Ojczyzny. Bo oto już gdzieś podstawiają pociąg lub tankują zbiorniki samolotu, który przewiezie przez Styks, do obcego, nieznanego świata:

> Dziś ostatni raz pogadamy
>
> Przy butelce o sprawach naszych.
>
> Gorycz czai się na dnie szklanki
>
> Spakowana walizka straszy…
>
> (Dziś ostatni raz)

A owa ojczyzna – to przecież bardzo różne rzeczy, ale zawsze cenne. Oddalenie tylko dodaje im wartości, czyni ważnymi, niezależnie od ich natury i funkcji:

> Plik amatorskich zdjęć w albumie,
>
> Gwóźdź – kiedyś w ścianę krzywo wbity,
>
> W szufladzie – listy przeczytane,
>
> W barku – łyk whisky niedopity (…)
>
> (Cóż pozostanie)

A gdy już się przez ten Styks przepłynie – sentymenty należy odłożyć, przynajmniej na początku. Naga prawda pobrzmiewa czystym estetycznym tragizmem, niemal jak z Herberta:

> Tam byłeś wrogi, tu jesteś obcy,
>
> Zaciśnij zęby, już raz wybrałeś!
>
> (Wigilia 1987)

Emigranckie życie może bywać koszmarem, trzeba o tym pamiętać. To jedna więcej pozycja w rachunku, który wystawić się powinno tym, którzy ludzi Sierpnia okradali z ojczyzny (a dziś chodzą w glorii tych, co „uratowali Polskę”):

> Nieraz wspomnienie sen ci odbierze,
>
> Wśród nocy wstawać każe
>
> I – albo zdusisz w sobie tęsknotę,
>
> Albo – spakujesz bagaże (…)
>
> (Do Kolegi)

Emigrant, zwłaszcza polityczny, zawsze nasłuchuje. Czeka. Ma nadzieję. Nadzieję na zmianę, na to, że – trawestując Mickiewicza – ktoś zawoła. Ale dla ludzi takich jak Winicjusz Gurecki czas nie miał dobrych wiadomości. Paskudzące się rany wspomnień stanu wojennego nie miały szans zagoić się. Wsłuchiwanie w głosy z ojczyzny kończyło się jeszcze większą goryczą – goryczą kolejnych klęsk, tracenia kolejnych złudzeń: napływały informacje o kontraktowych wyborach, o spychaniu w niebyt ludzi Sierpnia, o „okrągłym stole”, o tym, że „czerwoni” ręka w rękę z Solidarnością…

> Nie będzie rozliczeń
>
> Co było – to było
>
> Pozwólcie chwastami
>
> Zarosnąć mogiłom.
>
> Sto procent w Senacie
>
> Trzydzieści pięć w Sejmie
>
> Generał też Polak
>
> Nie trzeba oddzielnie (…)
>
> (Siadajcie)

A przecież się słucha, żyje się tym krajem, który tak bardzo nie daje się kochać, a który tak trudno z serca wyrzucić. Cóż – polski

los. Nie wszyscy łatwo adaptowali się na emigracji, wielu nie zaadoptowało się i nie zaadoptuje nigdy. To ci, o których pięknie napisał poeta:

> Można uciec przed nędzą i głodem,
>
> Przed milicją, więzieniem i wojskiem,
>
> Ale wszędzie jesteście skazani,
>
> Dożywotnio, zaocznie – na Polskę.
>
> (Tęsknota)

To oczywiście refleksja „pro domo sua”. Takim skazanym jest przecież sam Autor. Co może złagodzić dotkliwość kary? To, co często ocala człowieka: drugi człowiek, miłość. I przeświadczenie, że się w życiu czegoś chciało. Toteż te zwrócone do żony – towarzyszki emigracyjnej tułaczki – słowa Gureckiego, tchną mimo wszystko nadzieją i ufnością:

> Nie narzekaj na tę nasza wspólną drogę,

> Że ciernista i zakrętów na niej tyle,
>
> Przecież sama obiektywnie musisz przyznać,
>
> Że się ze mną nie nudziłaś, ni przez chwilę.

Ciekawe życie… Chińskie przekleństwo. Ale dla Polaka – dziwne słowa. Nie bardzo złe, choć może nie bardzo dobre. Niemal każdemu z nas dane jest właśnie coś takiego: ciekawe życie…

Więc może to jednak przekleństwo? Może należałoby się co dzień modlić o życie nudne? Nie wiem. Autor „Smug cienia” znajduje optymizm.

Z pustych serc

w próżną formę

fot. cgtrader.com

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Nie raz już zastanawiano się nad problemem twórczego pisania poza krajem, z dala od polskiego społeczeństwa. Nie chodzi o czasowe pobyty pisarza za granicą, ale o Polaków stale

przebywających poza ojczyzną. Wystarczy spojrzeć na same tytuły artykułów i antologii, aby zdobyć niezłą orientację w materii: „Mowa bez ziemi”, „Ryby na piasku”, „Opisanie z pamięci”, „Cena wolności” itp. Te nagłówki dostatecznie mówią o anormalnych warunkach piszącego na emigracji w ojczystym języku. O ile jest zrozumiałe i naturalne, że pisarze wyrzuceni z ojczyzny przez kataklizm historyczny i nie mogący z powodu sytuacji politycznej do niej powrócić, piszą dalej, kontynuują swoje powołanie artystyczne czy naukowe, o tyle dorastająca za granicą młodzież jest w innej sytuacji. Kiedy młody człowiek podejmuje pióro, nawet we własnym kraju w normalnych warunkach, robi krok pełen ryzyka. Jest on szansą, a może się stać wielką przygodą. Debiutant musi opanować narzędzia swego fachu, umieć przekonać do siebie kolegów, znaleźć odbiorców. Jeżeli ma talent, czuje gust czytelnika, to startuje pod pomyślnymi znakami. Debiut wśród obcych w mało znanym otoczeniu bez zapewnionych czytelników jest zupełnie inną propozycją.

Takie trudne początki miała grupa młodych Polaków, która w latach pięćdziesiątych znalazła się w Anglii, precyzyjniej: w Londynie. Na przykładzie ich terminowania, najpierw w Kole Polonistów, a następnie w redakcjach pism studenckich „Życie Akademickie”, „Merkuriusz Polski” i „Kontynenty” można obserwować ich początki. Trzeba na wstępie zaznaczyć, że byli oni dziećmi, kiedy wybuchła wojna, najstarszy z nich liczył

czternaście lat. Języka polskiego douczali się w sowieckich posiołkach, w obozach wojskowych, na pracach rolnych. Nie była to szkoła najlepsza.

Równocześnie poddani byli interferencji języków obcych z angielskim na czele, który był nie tylko językiem społeczeństwa, z którym związali swoje losy, ale zwycięskim medium, które podbijało wszystkie kontynenty stając się bezspornym językiem światowym.

U tych młodych, mimo rozległych perspektyw, jakie ukazywał język angielski, zwyciężył jednak język polski, niedouczony, taki jakim władali, jako język pierwszy i kulturowo decydujący. On się stał materią ich pisarskiej twórczości. Układając po polsku pierwsze wiersze czuli, że weszli na niezmiernie uciążliw, ale właściwą i jedyną drogę.

Normalną koleją spraw, powinni się byli uczyć od swoich starszych kolegów o przedwojennym dorobku i kontynuowanej twórczości, a nie brakowało ich w stolicy Wielkiej Brytanii, w której schronił się legalny rząd i powstały liczne placówki dające poczucie namiastki państwa, również instytucje kulturalne jak uniwersytet, dynamiczna biblioteka, teatr, Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, bogata prasa i szereg domów wydawniczych. Logiką nowego pokolenia nie poszli w ślady starszych, bo kierunek wytyczony przez nich nie był dla

debiutantów atrakcyjny. Młodzi czuli się inni, mieli tylko ograniczoną pamięć ojczyzny, a już byli po części z Zachodem zżyci.

Z początku funkcjonowali jako dziwny fenomen, *curiosum* zgoła na polskiej scenie. Ale w miarę jak szli dalej własną drogą, nie potrzebowali wskazań innych, odezwały się głosy niezadowolenia i cenzury. Krytykowano szczególnie ich twórczość poetycką.

Poezja współczesna nie ma czytelnika. Trudno jest powiedzieć czy to z winy samych poetów, którym się zarzuca odejście od człowieka, czy należy zapisać to na karb elitarności poezji wymagającej zbyt wiele od odbiorcy, czy wreszcie winić ducha czasu objawiającego się w innych mediach. Można oczywiście kroczyć wśród epigonów i „podobać się" mało wybrednemu audytorium, ale to nie każdego zadawalało. Oryginalność i nowatorstwo są zawsze trudne i ci, którzy im hołdują, płacą wysoką cenę w postaci braku zrozumienia i popularności. Nie mniej stanowią one wyzwanie raz po raz podejmowane. Nie inaczej było z poetami londyńskimi, o których mowa. Zarówno ich niegodzenie się z zastanym, jak i brak pisarskiego doświadczenia i w rzeczy samej nikły dorobek oraz zbyt schematyczne określanie swojej postawy, sprawiły, że byli w swoim czasie celem ataków starszych pisarzy.

Potykał się z nimi solidnie w polszczyźnie osadzony **Zygmunt**

Nowakowski (1891-1963). Nie rozumiał rozterki młodych w wyborze języka. Pasował ich łaskawie na biegłych praktyków przewidując, jak się miało okazać, trafnie, że mimo odgrażania się, przy języku polskim pozostaną. Natomiast **Jan Rostworowski** (1919-1975), poeta popularny, którego lubiane wiersze zapełniały sale, zgłosił zasadniczy sprzeciw. Dla niego już sama myśl, samo podawanie w wątpliwość sensu tworzenia na uchodźstwie w języku polskim, było herezją. Jego schronienie się w mowie, którą znał znakomicie, było szczęśliwsze od sytuacji młodych, ciągle jeszcze terminatorów, których wabiły różne perspektywy i nęciły szanse na opanowanie bardziej przydatnego języka.

Jan Rostworowski był znacznie od Zygmunta Nowakowskiego młodszy i wiekiem i wykształceniem zbliżony do grupy młodych poetow. Nie dostrzegał jednak ich problemu, jaką była niezgoda na tematykę i formę pisarstwa starszych kolegów. Widział w niej po prostu chęć odejścia od człowieka, w tym wypadku od człowieka emigracyjnego i ochotę służenia sztuce dla sztuki. Dziwił się, że młodzi, którzy w lwiej części nie posiadali biografii wojennej, zainteresowani byli tematyką odmienną i przewrotnie lekceważyli symbole swoich ojców, którzy dopiero co wyszli, dotkliwie doświadczeni, z kataklizmu wojennego. Zawieszeni między niemożnością podążania wydeptaną ścieżką a dramatem przypisania do języka pozbawionego konkretów i rzeczywistosci, którą wyrażała, jasno widzieli swoja niepewną przyszłość. Chcieli

wyjść na pisarzy, mierzyli wcale wysoko nie mogąc liczyć na czytelnika, który im będzie towarzyszył, odrzucali równocześnie epigoństwo i twórczość okolicznościową, pisarską polonijność w sensie zamkniętych horyzontów, taryfy ulgowej i braku ambicji.

Rostworowski dostrzegał jedynie odżegnywanie się od losu grupy wychodźczej dla pustego hołdowania czystej twórczości. Dlatego przepowiadał „palec piszący na ścianie 'mane tekel fares' ich artystycznej porażki". Dziwiło go, że młodzi nie przewidywali sukcesów, że spodziewali się pustki. Sami ją wytworzyli i dlatego byli dla niego ludźmi osobliwymi, trochę z innej planety, ludźmi, którzy znaleźli się mimo woli w skomplikowanej sytuacji.

> Wolność mają. Wolność – że zapożyczę się u Miłosza – przed strachem zniewolonego umysłu. I to ich tu trzyma. Na jak długo? Trudno przewidzieć. Może dopóty, dopóki strach przed próżnią nie okaże się silniejszy niż strach przed zniewolonym umysłem.

Taki los przepowiadał wiele lat temu poeta wówczas mocno osadzony na emigracji, wzięty i celebrowany liryk. Czy później miał jakieś wątpliwości, co do swojej prognozy? Bo „strach przed próżnią" okazał się jednak słabszy. Młodzi, o których pisał tak namiętnie, postarzeli się na emigracji, za to Rostworowski wrócił do Polski. Wyroki przyszłości są niezbadane, ale prywatne

decyzje zasługują na szacunek. W cytowanym już artykule (Haracz wolności, *Tydzień Polski*, 11.03.1961) poeta krakowski pomówił nas ponadto, że uciszyliśmy w sobie „teologiczny dialog” i że przelewamy „z pustych serc w próżną formę”. Dlatego, zdaniem autora, z tym bagażem nie wnijdziemy do Królestwa.

Wyrokowanie o zbawieniu bliźniego jest czynnością pochopną. Chcę wierzyć, że także w tym wypadku nasz krytyk nie będzie miał ostatniego słowa.

Obietnica

Maja Elżbieta Cybulska

Czasami ma się ochotę na wiersz, który po prostu porusza serce. Wybrałam „Powrót do Isfahanu” Stanisława Balińskiego, ze zbioru *Wieczór na Wschodzie* (1928).

> Powrócisz do Isfahanu, jak wraca pasterz do dolin:
>
> Aleją białych platanów, brzękiem wieczornych mandolin,
>
> Dzwonkami wiernych wielbłądów, idących z dalekich krajów,

Szumem pienistych strumieni, milczeniem ogrodu Rajów.

Zapachem róży wonniejszej od wszystkich kwiatów Gilanu,

I srebrnym cieniem wieczoru – powrócisz do Isfahanu.

Choćbyś nie umiał, nie wiedział i nie chciał – będziesz tam marzył.

Myśli rozwłóczysz, rozdalisz, roztopisz po horyzontach,

Zagubisz się i zachodzisz w miasta sinego trójkątach.

Wśród placów, drzemiących biało, i śpiewających bazarów,

Zapomnisz o biciu serca, zapomnisz o biciu zegarów.

Na to dalekie są miasta, kąpane we wschodnim niebie,

Żeby w nich błądząc samotnie, poczuć się bliżej siebie.

Niebo się zniży, kopuły zaleje płynnym szmaragdem,

Podasz mu oczy pogodne. Będziesz szczęśliwy. Naprawdę.

(*Wiersze zebrane* 1927-1947, Londyn 1948)

Przy lekturze tego wiersza nie chce się niczego ponad to, co zostało w nim ofiarowane. No może przydałoby się trochę informacji np. że autor pełnił służbę dyplomatyczną m. in. w Teheranie, w latach 1925-1927, a przedtem ukończył studia muzyczne, teoretyczne i kompozycyjne w Wyższej Szkole Muzycznej. Ale to są wszystko okoliczności pomocnicze, spoza tekstu.

W utworze jest „spora orkiestra", bo i brzęk mandolin i dzwonki wielbłądów, szum strumieni, a jeszcze bicie serca i zegarów. To wszystko uwypukla otaczającą ciszę, milczenie (place „drzemiące biało"), zapomnienie. Całość jest tak osobna, tak radykalnie oddzielona od człowieczej aktywności (choć niekiedy ją przybliża), że sprawia wrażenie jakiegoś abstrakcyjnego pejzażu, na innej planecie. Jedynie zwrot do drugiej osoby: powrócisz, rozwłóczysz, roztopisz itd. sprawia, że spostrzegamy czyjąś obecność.

Kto to jest? Marzyciel zagubiony „w miastach sinego trójkątach", samotnik, artysta wrażliwy na barwy, na „srebrne cienie wieczoru?, uwiedziony „zapachem róży", odurzony powietrzem? Jest tu jakaś nieruchomość, zatrzymanie w czasie, wysublimowane przeżywanie momentu zetknięcia z czymś bardzo materialnym, a jednocześnie nieziemskim. Jest jeszcze przejrzystość, nie zdefiniowana konkretynymi określeniami, ale zasugerowana opisem otoczenia. I żadnej drugiej osoby

oczywiście nie ma. To tylko chwyt utwierdzający autora w trafności własnych obserwacji.

Wiodą one do znalezienia sensu w życiu. A jest nim poczucie bycia „bliżej siebie”, wejrzenie w głąb. Baliński wnika w stan duszy wędrowcy, romantycznego pielgrzyma, który wchłania niezwykłe zjawiska i medytuje. Znajdując się w ciągłym ruchu, w drodze, jak brzmi tytuł innego wiersza, z tego samego zbioru, konstatuje:

> Cały świat jest ojczyzną. Nie ma krajów obcych,
>
> Tylko czas, co je spaja i dzieli jak chłosta

W końcu okazuje się, że ten świat „jest mniejszy od serca” i ucieczkę z niego zapewnia tylko śmierć. Ale przed ucieczką podróżnik ulega rozmaitym fascynacjom. Roztaczają się przed nim bajeczne widoki, ogarniają wzruszenia. Autor wskrzesza w swoim wierszu ponadczasową ideę dążenia: *Nawigare necesse est. Vivere non est.* I ta nieoczekiwana obietnica. „Będzisz szczęśliwy. Naprawdę”. Osobiście nie wierzę w podobne zapewnienia, ale jeżeli wychodzą one od poety, to chyba warto spróbować mu zaufać.

Czy można się dziwić, że czasami nadchodzi człowieka chętka przeczytania tradycyjnego, poruszającego serce liryku?

Stanisław Baliński, poeta, fot. Wikipedia.

Cały świat jest ojczyzną

Edward Zyman

Zaczerpnięty z wiersza Stanisława Balińskiego „Powrót do Isfahanu” tutułowy wers tej notatki mógłby posłużyć jako motto uroczej książki Maji Elżbiety Cybulskiej *Łabędź. O wierszach*, wydanej nakładem Stowarzyszenia Literacko-Artystycznego „Fraza” (2019). Zbiera ona gawędy o poezji, jakie autorka zamieszcza od trzech lat na łamach londyńskiego „Nowego Czasu”. Gawędy, bo to teksty pięknie, mądrze i niezwykle zajmująco „opowiadające” przesłanie osiemnastu wybranych wierszy (m. in. Balińskiego, Gałczyńskiego, Herberta, Homera, Horacego, Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej, Miłosza, Przyłuskiego, Szymborskiej, Śmieji, Twardowskiego, Wergiliusza, Wierzyńskiego).

Teksty te są jednocześnie dowodem bezinteresownej miłości jaką Cybulska, uprawiająca krytykę, darzy sztukę pięknego słowa. Nie

dziwi to specjalnie, jest bowiem również poetką. Wiersze są dla Maji Elżbiety Cybulskiej zaproszeniem do refleksji nad fenomenem ludzkiej egzystencji, nad człowiekiem, jego namiętnościami i pasjami, nad wpisaną trwale w jego kondycję samotnością, a także nad procesami cywilizacyjno-historycznymi wyznaczającymi warunki jego bytowania. Są także hymnem na cześć sztuki, jedynej bodaj aktywności ludzkiej, która nie dzieli lecz łączy, przemawia do każdego z nas, bez względu na miejsce zamieszkania, rasę i wyznanie. Gdy potrafimy zachwycić się piekną frazą, obrazem mistrza czy ujmującym istotę naszej niepowtarzalności lirykiem, wówczas cały świat jest dla nas ojczyzną. Znikają wszelkie bariery i granice, otwierają się natomiast – nieograniczone możliwości komunikacyjne. Zapraszam do lektury jednej z gawęd, którą autorka poświęciła przejmującemu lirykowi Stanisława Balińskiego. Polecając tę interesującą książkę, zredagowaną przez krytyka, historyka literatury i miłośnika pięknych druków – dra Jana Wolskiego i opracowaną graficznie przez Grzegorza Wolańskiego nie sposób nie zwrócić uwagi na jej piękny, cieszący oko kształt edytorski.

Maja Elżbieta Cybulska

Łabędź

O wierszach